

JACEK PODSIADŁO

Czerwona kartka dla Sprężyny



NASZA KSIĘGARNIA



JACEK PODSIADŁO

**CZERWONA
KARTKA
DLA
SPRĘŻYNY**

NASZA KSIĘGARNIA

Text © copyright by Jacek Podsiadło, 2009
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016

Projekt okładki i stron tytułowych: *Monika Pollak*
Grafiki: *Agata Raczyńska*

Interpunkcja i ortografia pozostawiona
zgodnie z życzeniem Autora.



Rozdział pierwszy

Wszystko rozstrzygnęło się w siedemdziesiątej trzeciej minucie meczu. Boczny obrońca wrzucił piłkę z autu jeszcze na własnej połowie. Messi przyjął ją i podał po ziemi Robinho, precyzyjnie, do nogi. Do Robinho od razu doskoczyło dwóch przeciwników, zatem ten, nie czekając, mocnym przerzutem przeniósł grę na prawe skrzydło, do Ronaldo. Ronaldo rozejrzał się i nie widząc żadnego z partnerów, z piłką u nogi popędził do przodu. Drogę zagroził mu Ronaldo, więc Ronaldo w pełnym biegu wykonał ten efektowny zwód z obrotem na piłce wokół własnej osi, ale nóżki dziwnie mu się przy tym zaplątały, stracił równowagę jakby wpadł we wnyki zastawione na środku boiska i runął na ziemię. Jeszcze zanim przewrócił się do końca, spojrzał na sędziego i rozpaczliwie zawył: „Faaaaul!”, to samo krzyknął, wyrzucając w bok rękę, jego kolega z ataku, ale arbiter pokazał tylko, żeby grać dalej, więc Ronaldo, ale nie ten, tylko ten, który przejął piłkę, rozpoczął kontratak swojego zespołu. Długim krosem na dobieg uruchomił środkowego napastnika, a ten z dziecinną łatwością wyprzedził obu stoperów i znalazł się w sytuacji sam na sam z bram-

karzem. Bramkarz oblizał wargi z emocji i zrobił to, co robi w tak dramatycznych okolicznościach każdy znający swój fach golkiper: wybiegł naprzeciw i desperacko rzucił się pod nogi przeciwnika, starając się tą rozpaczliwą interwencją uratować swój zespół od utraty gola. Jednak ułamek sekundy wcześniej gibki napastnik wykręcił w biegu zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, dryblingiem ominął żywą przeszkodę i lekkim pacnięciem skierował piłkę do pustej już bramki, po czym podskakując i wiwatując na własną cześć oraz wyjąc „Jeeeeest!”, pogalopował aż za bramkę, aby wykonać taniec radości na oczach rozentuzjzmowanego tłumu. Ten taniec radości wyglądał, prawdę powiedziawszy, na atak padaczki albo walkę z próbującym ugryźć niewidzialnym wściekłym psem, ale ani strzelcowi, ani biegnącym ku niemu z gratulacjami kolegom nie przeszkadzało to w fetowaniu zdobytej bramki. Tak samo zupełnie im nie przeszkadzało, że w miejscu rozentuzjzmowanego tłumu nie było tak naprawdę żadnego tłumu, tylko dwóch robotników przy betoniarnie, bez entuzjazmu latających dziury w starym, zniszczonym chodniku prowadzącym do szatni. Zajęci piaskiem i cementem fachowcy w ogóle nie zwracali uwagi na emocjonującą walkę rozgrywającą się tuż obok, chyba że piłka po niecelnym strzale lądowała niebezpiecznie blisko ich nietykalnego jeszcze dzieła. Ale w wyobraźni chłopaka, który strzelił właśnie gola, możliwe są większe jeszcze cuda, niż tylko przemiana dwóch facetów z łopatami i betoniarki w falujący, bijący brawo i machający flagami tłum. Kto tego nie wie, ten z pewnością jest inwalidą, który w życiu nie

kopnął piłki. Albo pólninwalidą, który owszem, kopnął, ale nigdy nie strzelił gola i nie wie, jak to smakuje.

Zatem w siedemdziesiątej trzeciej minucie wszystko się rozstrzygnęło. Drużyna Szkoły Podstawowej nr 28, mająca w swym składzie, sądząc z napisów na koszulkach, trzech Messich, dwóch Walcottów, dwóch Ronaldo oraz po jednym Ronaldinho, Eto'o, Smolarku i Borucu, prowadziła już dwa do zera z reprezentacją Szkoły Podstawowej nr 225 (trzech Ronaldo, trzech Klosech, dwóch Riberych, Robinho, Messi i Casillas). Ponieważ przez cały mecz „dwudziestka ósemka” zdecydowanie przeważała, zakrawałoby na cud, gdyby wcześniej któraś z nielicznych ofensywnych akcji „dwieście dwudziestki piątki” zapewniła jej graczom powodzenie, czyli remis. Ale tak całkiem nie można było wykluczyć sukcesu jakiejś rozpaczliwej szarży, historia futbolu zna wcale sporo podobnych przypadków, natomiast teraz stanowczo nie należało się spodziewać, że w ostatnich minutach meczu nastąpią dwa cudy jeden po drugim, które zresztą i tak dałyby uczniom „dwieście dwudziestki piątki” tylko możliwość walki w dogrywce. Sądząc po wydłużonych buziach i po tym, jak powłóczyli nogami, szykując się do wznowienia gry, oni sami stracili już wszelką nadzieję. Lecz ten drugi gol rozstrzygnął nie tylko to, że reprezentacja SP nr 225 odpadnie z Międzyszkolnej Ligi Mistrzów. Przesądzone było i to, że Miroslav Klose nie zje dziś kolacji, bo aż do wieczora w gardle będzie miał wielką pigułę złości i smutku, która sprawi, że połknięcie czegokolwiek stanie się niemożliwe, aż rodzice zaczną się martwić, czy nie dostał tej słynnej anoreksji. Ikerowi Ca-

sillasowi otrzepującemu właśnie dres z boiskowego kurzu przyjdzie znosić docinki swoich braci, że puszczane przez niego gole to na pewno łatwe do wyłapania szmaty, zawsze tak kpią. Lionel Messi będzie się zastanawiał, jaki sens ma trening i wydawanie kieszonkowego na koszulki, getry i ochraniacze, skoro to trzeci przegrany mecz z rzędu. I tak dalej. Zupą ze zgnięłej ściierki i nocnym koszmarem żółwia, któremu śni się, że goni go dziki dzik, jest życie człowieka, który właśnie wraz z całą drużyną odpadł z Ligi Mistrzów. I to, pożałuj Boże, na własnym boisku!

– Daniel, do zmiany! – krzyknął zza linii bocznej nauczyciel wuefu, pan Ząbek.

Ronaldo westchnął głęboko, schował głowę w ramionach i zasepiony poczłapał w stronę swojego trenera.

– Spróbujcie strzałów z daleka, pod poprzeczkę – doradził jeszcze bezradnie skrzydłowemu, którego mijal. – Ten ich bramkarz to kurdupel, nie dosięgnie, tylko trzeba dobrze huknąć.

Przy chorągiewce gimnastykował się już zmiennik, drobny rudzielec w koszulce z nazwiskiem Rooney. Ronaldo bez przekonania przybił z nim piątkę, po czym ze wszystkich sił starał się stać głuchoniemy. Najchętniej zapadłby się, jak to mówią, pod ziemię, zawiąłby się w stumetrowy dywan i poturlał w kosmos, zniknąłby na amen, ale skoro to było niemożliwe, usiłował przynajmniej nic nie widzieć i nie słyszeć. Niestety, aż nadto wyraźnie usłyszał reprimendę pana Ząbka:

– Przez cały mecz ci powtarzam, żebyś nie kiwał, tylko podawał chłopakom! Już gardło sobie zdarłem. Miałeś do wyboru obu skrzydłowych na wolnych po-

zycjach, ale oczywiście zachciało ci się dryblowania, i co? Nadzialiśmy się na kontrę i po zawodach.

– Przecież był faul – wydusił przez ściśnięte gardło Ronaldo.

– Tak, chyba piłka cię kopnęła, taki to był faul – dociał mu jeszcze pan Ząbek, po czym zaklaskał, robiąc dobrą minę do złej gry: – No, chłopaki, walczyliśmy do końca, jeszcze nie jest tak źle! Tylko grać piłką, dużo podać, nie bawić mi się w Brazylię!

Ronaldo z wściekłością kopnął kępkę trawy, jaka mu się nawinęła pod nogi, i zamiast w kierunku ławki rezerwowych poszedł prosto do szatni. Zaraz za boczną linią wściekłym ruchem ściągnął z siebie mokrą od potu koszulkę i z króla środka pola, mistrza dryblingu oraz strzału, wielkiego Ronaldo, zmienił się w małego, zwykłego Daniela Rucińskiego, zapłakanego ucznia szóstej „b”. Nic na to nie mógł poradzić, że wszystkie niepowodzenia i krzywdy, jakie spotkały go na boisku, skropliły się w głupie, nachalne łzy, których nijak nie można powstrzymać, bo choć zaciska się zęby i powieki, same wyłażą z oczu jakby człowiek był płacziwą babą, nie piłkarzem. Przecież to nie jego wina, że sędzia był ślepy i nie potrafił dostrzec ewidentnego faulu, przecież Daniel wyraźnie czuł, że nie przewraca się sam, ale że popycha go jakaś siła, a musiał to być przeciwnik, bo chyba nie zwałił go z nóg Duch Święty. A do szczęścia brakowało tak niewiele... Gdyby minął swoim, nie ma co ukrywać, że znakomitym zwodem tego brutalnego obrońcę, droga do bramki stanęłaby przed nim otworem, a szybkości przecież mu nie brakuje, nie musiałby podawać żadnemu ze swoich kolegów

będących może i na wolnej pozycji, ale kto wie, czy nie na spalonym, poprulby z piłką samotnym rajdem i bez dwóch zdań, strzeliłby gola jak nic, może nawet przymierzyłby eleganckim lobem w okienko i zostałby bohaterem meczu, a jutro i całej szkoły, bo na korytarzach opowiadano by sobie na przerwach, jak to urwał się obrońcy jednym zwodem i z zimną krwią strzelił temu kurdupłowi na bramce tak, że podkręcona piłka niemal otarła się o spojenie słupka i...

– Uważaj, mały, idź bokiem, nie wdepnij nam w ten beton.

W tej chwili należało się chyba cieszyć, że zamiast tłumu zgromadzonego na trybunach, piłkarza maszerującego do szatni ze spuszczoną głową widzieli z bliska tylko dwaj robotnicy, których nie interesowało nic poza świeżo wylanym betonem. No, gwoli ścisłości było jeszcze na widowni parę osób, pewnie kilkoro nadopiekuńczych rodziców koniecznie chcących zobaczyć swoje pociechy w nieudanych akcjach, plus dwóch czy trzech zabłąkanych kibiców w starszym wieku, takich zapaleńców, co to pójdą na każdy mecz, nawet gdyby grały krasnale z przedszkolakami albo manekiny przeciwko pomnikom. Daniel splunął, bo zawsze dostawał ślinotoku, kiedy mu rozkazywano, jednak posłusznie ominął łatany chodnik bokiem. W chwilę później, kiedy przekraczał próg szatni, do jego uszu dobiegło gromkie „Gooool!” z jedenastu młodych gardeł. To gracze „dwudziestki ósemki” świętowali zdobycie trzeciej bramki.

Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Chłodna woda przynosiła ulgę rozgrzanemu ciału i zmęczonym mięśniom. Próbował zmyć z siebie śmiertelne zmęczenie,

gorycz porażki i to najgorsze: poczucie krzywdy, ale choćby się szorował nie mydłem, a papierem ściernym, nic by to nie pomogło. Owinął się ręcznikiem, usiadł na ławeczce i zapatrzył się we własne stopy, które tyle się dziś nadaremnie nabiegały. W szatni panowała głęboka cisza. Westchnienie piłkarza rozległo się w niej głuchym, ponurym echem. I niewiele się ta cisza zmieniła parę minut później, kiedy po skończonym meczu do Daniela dołączyła reszta drużyny. Słysząc było tylko sapanie, szuranie plastikowych korków po podłodze i szmer ściąganych strojów. Koszulki, spodenki i getry smętnie lądowały jedno po drugim na kupie pod ścianą. Gdyby ktoś chciał postawić kiedyś pomnik klęski, mógłby on przybrać kształt takiej właśnie sterty łachmanów. Nikt nic nie mówił.

Ławki, wieszaki, rząd szafek i skrzynka wody mineralnej. Chyba wszystkie szatnie piłkarskie świata są do siebie podobne. I we wszystkich jednakowo pachnie starymi piłkami, butami i potem sportowców, z którym to zapaszką daremnie zmaga się woń mydła, kosmetyków i środków czyszczących. Jest to przykry, odbierający chęć do życia szatniany smród zmęczenia i porażek. Ale ten sam odór po wygranym meczu okazuje się czymś zupełnie innym, staje się słodkim, upajającym zapachem zwycięstwa, życia i radości. To dziwne, że coś, co jest takie samo, może być zarazem inne, ale z niektórymi rzeczami tak właśnie jest. Zresztą szatnie piłkarskie to nie jedyne pomieszczenia, które pachną niby zawsze jednakowo, a mimo to zupełnie inaczej w zależności od okoliczności. Na przykład w gabinecie dyrektora szkoły inaczej pachnie, kiedy prowadzą na